



*Oficjalna gazetka IV Liceum Ogólnokształcącego
im. rtm. Witolda Pileckiego w Piasecznie*

ProContra

wrzesień—grudzień 2021



W tym numerze:
„Idę w glanach do kościoła, mamo”
„Human baluje, biolchem haruje”
„Internetowy seks vs Czarnek”

OKIEM PEDAGOGA

FELIETONY:

1. Dźwięki dzieciństwa.....	4
2. Zima zdalnie.....	4
3. Internetowy seks vs. Czarnek.....	5
4. Elżbieta, eL-ka, Elunia.....	6
5. Wdzięk.....	6
6. Ławkowe rewolucje.....	7
7. Human baluje, biodchem haruje.....	7
8. Okropny Instagrama rzeczywistość.....	8
9. Równia pochyła szansy.....	9
10. Przywara narodowa.....	9
11. Starość (nie) radość.....	10
12. Wenus w spodniach.....	11
13. Granica.....	11
14. Liczyć uniem na siebie.....	12
15. Oudzoziemcy w polskiej szkole.....	12
16. Ślubny must-have.....	13

RECENZJE:

1. Prawdziwe dźwięki.....	14
2. Szukając sprawiedliwości.....	15
3. Sanatoryjna wegetacja.....	15
4. Wy bawcie się w wojnę, ja robię ciasto.....	16
5. Skok w bok.....	17
6. Pieniądze śmierci.....	17
7. Redefinicja metalowej muzyki.....	18

POEZJA:

1. Bję się mojej poezji.....	19
2. Idę w glanach do kościoła mam.....	19
3. My kruki z dworca zoo.....	19
4. Za oknem.....	20

REDAKCJA

Maja Beczek
Dominika Bartosz
Jakub Ratusiński
Kinga Rudecka

OPIEKA

Grażyna Makaruk
Bożena Szczypinska

GRAFIKA

Weronika Beńkowska
Aniela Zalewska
Jan Zieliński

Karuzela z kwarantannami

Ewa Demarczyk (nieżyjąca już piosenkarka i aktorka) wykonywała utwór na podstawie wiersza Mirona Białoszewskiego i z muzyką Zygmunta Koniecznego „Karuzela z Madonnami”. Tytuł skojarzył mi się z naszą sytuacją szkolną w covidowych czasach. Co pewien czas dowiadujemy się, że jakaś klasa będzie na kwarantannie i zacznie uczyć się zdalnie. W dodatku każda z tych klas jest nieobecna w szkole w innych terminach, jedna kończy kwarantannę, druga zaczyna, a inna ma przedłużoną.

Żeby się w tym wszystkim nie pogubić, w pokoju nauczycielskim mamy kartkę z wymienionymi klasami, które w danym dniu są nieobecne. Myślę, że uczniowie też są pogubieni, bo informacje o kwarantannie przychodzą czasami wieczorem, nie wszyscy czytają wiadomości wysyłane na dziennik i może nawet szykują się, jak zawsze, do szkoły następnego dnia. Na szczęście osoby zaszczepione mogą wychodzić po lekcjach z domu i prowadzić życie towarzyskie, ale ci bez szczepień, mogą za opuszczenie miejsca zamieszkania zapłacić wysoki mandat.

Lekcje zdalne nauczyciele muszą prowadzić ze szkoły, bo przecież mają też lekcje stacjonarne. A skąd wziąć kilka wolnych laptopów, skoro wszystkie są już wykorzystywane? Tu sprawdza się powiedzenie, że nauczyciel to jedyny zawód, którego reprezentant przynosi pomoce z domu do pracy, a nie odwrotnie ☺. W sytuacji, kiedy kilka klas jest na zdalnym nauczaniu, nauczyciele szukają cichego miejsca, skąd mogliby nauczać przy pomocy komputera. A o to w naszej szkole w obecnej remontowej sytuacji nie jest łatwo. W dodatku, jak już znajdzie jakieś pomieszczenie, to okazuje się, że nie ma w nim wi-fi.

Poza tym pojawia się wiele pytań, na które brak odpowiedzi:

1. Dlaczego w kinie, teatrze muszę mieć cały czas nałożoną maseczkę, a w klasie, gdzie ponad trzydzieści osób ciasno siedzi w zamkniętym pomieszczeniu, już nie?
2. Dlaczego klasa, w której jest zakażony uczeń idzie na kwarantannę, a nauczyciel, który miał z nim kontakt już nie?
3. Dlaczego cała klasa idzie na kwarantannę, a rodzice zakażonego ucznia już nie?

Ostatnio minister edukacji zarekomendował, żeby uczniowie zaszczepieni z klasy, w której ktoś jest zakażony, uczyli się stacjonarnie, a niezaszczepieni zdalnie. I znowu mam pytania bez odpowiedzi:

1. Skoro nie wolno pytać, kto jest zaszczepiony, to czy nauczyciel ma zamknąć oczy przy sprawdzaniu listy, żeby nie widział, kto jest w szkole, a kto w domu?
2. Do kogo mamy się zwracać, prowadząc lekcję, do komputera, czy do uczniów, którzy siedzą w ławkach?
3. Czy mamy pisać zadania, ważne informacje, przykłady na tablicy czy udostępniać na TEAMSach?
4. Czy może dostaniemy z MEN dar bilokacji, żebyśmy mogli dwa typy lekcji prowadzić w jednym czasie?

Sami widzicie, istna karuzela z kwarantannami!!!

*pedagog szkolny
Ewa Macios*

Dźwięki dzieciństwa

Uwielbiam muzykę filmową. To dosłownie połączenie moich dwóch ulubionych dziedzin, jeśli chodzi o sztukę. O ile film jest moim narzędziem ekspresji i uzewnętrzniania się, to nie wyobrażam sobie, jak tworzy się muzykę. W "ikonicznych" filmach genialny soundtrack jest po prostu jednym z elementów i nie wyróżnia się aż tak na tle całości.

Ale w niektórych animacjach, żeby nie powiedzieć "bajkach", dzieją się jakieś niestworzone rzeczy. Głównie w przypadku bajek, na których sama się wychowałam. Niestety, w nowszych produkcjach trudno jest znaleźć cokolwiek sensownego, więc mogę powiedzieć, że miałam szczęście. Ale ja nie o tym.

Zakładamy, że ktoś powiedział "robimy animacje o chłopcu, który wychował się wśród małp. Ogarnij jakąś ścieżkę dźwiękową". Okej, nic szczególnego, prawda? A no nie, bo poprosili o stworzenie muzyki Phila Collinsa. I stworzył piosenki tak potężne, że instrumenty (zapewne) płoną podczas grania. Facet autentycznie dał z siebie wszystko i dołożył połowę swojej rodziny. Nie mam pojęcia po co się tak starać. Ale podczas słuchania momentami moja dusza wręcz opuszcza to śmiertelne ciało. Nie sposób opisać to uczucie. Jak dla mnie to jeden z najlepszych sposobów na poprawę humoru. Być może jestem zbyt przewrażliwiona, ale nie tylko ja mam takie odczucia. Może wiąże się to z sentymentem, ale to nie reguła, bo niekoniecznie muszę dobrze pamiętać daną produkcję, żeby zbierać szczękę z podłogi przez soundtrack z niej. Moi faworyci, których znam bardzo dobrze, prawie kadr po kadrze to np. "Mustang z dzikiej doliny", "Merida", "Mój brat niedźwiedź", "Jak wytresować smoka" i "Zaplątani". O klasykach od Disneya ("Król Lew", "Pocahontas") nie będę wspominać, bo myślę, że są po prostu kultowe i nikomu nie trzeba udowadniać ich wartości, zarówno audio jak i wizualnej.

Refleksja ta naszała mnie po odkryciu na youtube playlist takich właśnie pererek z animacji. Czy właśnie słucham jednej podczas pisania tego tekstu? Być może... I (przynajmniej na mnie) za każdym przestuchaniem wywo-

łują naprawdę duże wrażenie. Myślę, że ścieżki dźwiękowe w filmach na ogół są niedoceniane. Wszystkim sentymentalnym i bardziej wrażliwym polecam przestuchanie soundtracków, czy to znanych z bajek z dzieciństwa, czy aktualnie ulubionych filmów i seriali.

Basia Frontczak 3Ag

Zima zdalnie

"Ciemno wszędzie, glucho wszędzie, co to będzie, co to będzie?" – Zima jak nic.

Już wkrótce wschód słońca stanie się nową atrakcją podczas lekcji, włącznie z zachodem dającym się zaobserwować zaledwie kilka godzin później. Wychodzisz z domu – ciemno, wracasz – ciemno. Jeśli wszystko się ułoży, czasy nauczania zdalnego dobiegną końca. Nie będzie możliwości budzenia się na pięć minut przed lekcją, byle zdążyć odpalić komputer i siedzenia (lub nawet leżenia) przykryta kocykiem z herbatką.

Prawda jest taka, że nie musieliśmy się z tym mierzyć od prawie dwóch lat i trochę się rozleniwiliśmy, bo jak tu nie przywyknąć do takich wygod? Lekcje zdalne mogą mieć wiele wad, ale w okresie zimowym są zbawienne. Poza późniejszym wstawaniem, nie trzeba marznąć na przystankach i w klasach, nie nosi się wszędzie błotą, nie chodzi się ubranym na cebulkę. Do tego zaoszczędzając czas dojazdów, możemy go przeznaczyć na wykonanie prac domowych przed zniwczęm, bo, choć to zależy od osoby, sama należę do grona, które po cieniu myśli tylko o tym, żeby pójść spać. Na pewno nie w głowie mi siedzieć nad kolejnym wypracowaniem lub tuzinem zadań z matmy.

Pisząc to, patrzę przez okno. Widzę deszcz i aż się odechciewa ruszyć. Może lekcje przed komputerem na dwa miesiące to nie taki zły pomysł? Do najkrótszego dnia w roku. Potem każdy kolejny będzie coraz dłuższy, dając nadzieję.

Z resztą i tak wszyscy wkrótce zaczniemy chorować.

Julia Bokacka 3Ag



Internetowy seks vs Czarnek

„Sex Education 3”, czyli po co uczniom minister Czarnek, skoro mają Netflix. Wszystko co chcielibyście wiedzieć o seksie, ale minister Czarnek wam tego nie powie – tak można podsumować trzy sezony „Sex Education”.

Pomimo tego, że w XXI wiek
weszliśmy dwie dekady temu,
seks nadal pozostaje ogrom-
nym tematem tabu w Polsce. Nie porusza się spraw sek-
sualności, albo rozmawia się w sposób niepoważny, infan-
tylny. Przecież dzieci nie muszą wiedzieć o *takich* spra-
wach. Ale co się dzieje w momencie gdy z dzieci przecho-
dzą w nastolatków, a później w dorosłych? Skąd mają wie-
dzieć co i jak? I jak mają nauczyć swoje ewentualne dzieci
co to znaczy bezpieczny i zdrowy seks? Odpowiedzi na te
pytania nie otrzymamy w polskich szkołach. Węc jak rnto-
dzież ma się dowiedzieć o współżyciu?

Z pomocą przychodzi serial Netflixa „Sex education”, z pozoru jest to kolejna produkcja nie mająca żadnej wartości poza rozrywką. Pomimo powszechnego dostępu do Internetu młodzieży nadal trzeba tłumaczyć, na czym polega seks. Zdecydowana większość czerpie naukę z filmów pornograficznych i serwisów erotycznych. Praktyka może dość brutalnie zweryfikować nasze wyobrażenia o seksie. W tym temacie „sex education” wypada najlepiej – lekki i zrozumiały przewodnik po relacjach intymnych i nie tylko. Mordale to szkoła z najgorszych koszmarów Przemysław Czarnka. W naszych szkołach zamiast edukacji seksualnej z prawdziwego zdarzenia wciskają nam WDŻ. Sama uczęszczałam na ten przedmiot i mogę śmiało stwierdzić, że nie wyniosłam z niego nic więcej czego nie wiedziałam już po lekcjach biologii. Niekiedy odbywały się lekcje tylko dla dziewczynek lub chłopców. Były tylko chłopcy nie dowiedzieli się co to okres, uczono nas, że podpaski należy ukrywać i wstydzić się naturalnej funkcji naszego ciała. WDŻ jest niedobowiązkowy i z tego powodu mało osób na

niego uczęszcza, bo przecież kto chciałby marnować godzinę swojego życia na słuchaniu o grzechu masturbacji.

Ne chodzi o to by przymuszać dzieci, ale o zmianę tematów jakie obejmują te zajęcia. Choć Ministerstwo Edukacji Narodowej przewidziało tematy z zakresu antykoncepcji, chorób przenoszonych drogą płciową i informacji dotyczących asertywności, to w praktyce dostajemy

wiedzę ogólnikową, a zajęcia nie poruszają kwestii, które naprawdę nas ciekawią. Bardzo często lekcje prowadzone są przez osoby niemające odpowiedniego podejścia i wiedzy. Najbardziej cierpimy na tym właśnie my i w poszukiwaniu odpowiedzi kierujemy się w stronę Internetu. Nie mamy jak ich zweryfikować, a niedoinformowanie rozprzestrzenia się jak plaga.

Potrzebujemy edukacji seksualnej nie tylko po to by zdobyć wiedzę dotyczącą kontaktów intymnych, ale także aby kształtować swoją tożsamość. Wszczególności chodzi tu o środowiska LGBTQ+, które do tej pory są w Polsce wykluczane ze społeczeństwa. Edukacja seksualna powinna poruszać temat tolerancji i dostarczać odpowiednią wiedzę, która pomoże w zdefiniowaniu własnej orientacji seksualnej i tożsamości płciowej. W szkołach przekazywane nam są mity – antykoncepcja służy jedynie do zapobiegania ciąży, a pary jedнопłciowe nie muszą jej używać.

Pomimo tego, że na serial spłyną z prawicowych mediów gromy za „promocję LGBT”, to poza ciekawym ukazaniem kwestii tożsamości płciowej czy ogólnej tematyki queero-
wej, na szczególne podkreślenie zasługuje rzetelność przekazywanych informacji i ukryte za komedią poważne tematy – bezpieczne korzystanie z binderów. Gdyby Polska skorzystała choć z ułamka wiedzy przedstawionej w serialu edukacja seksualna miała by szansę stanąć na nogi. Może powinniśmy zrzucić się na abonament Netflix'a dla ministra Czarńka?

Gabrysia Lesiak 3Aq



Elżbieta, eL-ka, Elunia

Trzask, pisk, szur, dur. Ufff, udało się ruszyć! Teraz trzeba jakimś cudem prześlizgnąć się dalej, jak węź, trochę slalomem – przepuszczamy kogoś z balonikiem szerokim łukiem omijamy kartony, UWAGA! Pies przebiega! Dobra, na szczęście wszyscy cali. Pot na czoło, zimne dłoń, sztywny kark. Później wcale nie będzie łatwiej. Rondo. Koszmar. W głowie jedna myśl powtarzana, jak mantra– „ŻEBY NE ZGASŁ, ŻEBY NE ZGASŁ, ŻEBY NE ZGASŁ”. Hurraaa! Pyr ,pyr , pyr, toczymy się nakoto tego śmiesznego placuszka. Dobra, znowu wszyscy cali. Do czasu. Jedno potknięcie, jedno zgaśnięcie, jedno gwałtowne hamowanie, jedno złe zjechanie... I to, czego obawialiśmy się najbardziej. GNEW, KRZYK, ZGRZYT. Zamiast melodii w radiu, słychać tylko charakterystyczny klakson, w dodatku ze wszystkich stron. Panika, chaos, wzdychanie, zgrzytanie zębów, wołanie: „mamusiu ratuj!” Oczywiście sytuację opanowuje osoba obok, Drogowy Anioł Stróż, nie człowiek. Rozczarowanie, bo pierwszy raz za kółkiem nie jest taki banalny...

Ruch na ulicach, nieodpowiedzialne zachowanie kierowców, niebezpieczne momenty, nie pomagają nowym kandydatom w uczeniu się jazdy. Wszystko człowieka stresuje. Trzeba mieć oczy z tyłu głowy, uważać, obserwować, myśleć za innych, cały czas będąc skupionym. Wyjście z samochodu, jest ulgą, chwilą na złapanie oddechu. Jazda męczy i przysparza wiele stresu, a każdy radzi sobie z nim na swój sposób, jedni lepiej, drudzy gorzej. Za to wszyscy jednakowo reagują na widok samochodu z wielkim „L” na dachu. Jakiż lament, jakaż tragedia. Przecież nie będzie można jechać szybciej niż wskazane. Przecież nawet nie ruszy. Przecież pewnie jedzie jakaś łamaga, co to nawet nie umie skręcić. Szanowni wprawieni i doświadczeni kierujący, a jak ma umieć, skąd ma wiedzieć? Skoro nie może się nauczyć, bo rzekomo tamuje ruch i denerwuje pozostałych? Od tego jest kurs, od tego są instruktorzy, od tego jest ulica, na której mogą przebywać różni uczestnicy ruchu, także Ci, którzy jeszcze nie potrafią doskonale jeździć. Każdy kiedyś był na ich miejscu. Kursanci są ze-

stresowani, a trąbienie, wymachiwanie rękami niczego nie zniemi i wpływa demotywująco na chęć do jazdy oraz robienie postępów. Cierpliwość, wyrozumiałość to legendarne cechy kierowców.

Trzydzieści godzin za kierownicą to niewiele czasu, żeby móc wystarczająco oswoić się z autem i nabrać pewności siebie. Otaczająca presja i nagonka na jeżdżące elki utrudnia drogę do sukcesu. Jednak nikt się nie poddaje, kursanci brną przez pot, trud, często łyż aż do celu, do uzyskania upragnionego, wyczekiwanego POZYTYWNEGO wyniku na egzaminie. Pozytywny się należy, czy się stoi w korkach, czy się na siedzeniu leży.

P.S Cierpliwość i wyrozumiałość poszukiwane na drogach!

Julia Gołębiowska 3Ag

Wdziąłem coś

Wszczęświat próbował mnie zgnieść. Był jak piękne, lecz niebezpieczne zwierzę. Przelewał mi się przez palce. Jego blask



z łatwością przechodził przez moją skórę, jednak nie oślepiał mnie. Ukazał mi się cały. Złżył zasłonę z mojego umysłu. Z tego jednego pokoiu uczynił swoje legowisko. Rozłożył się w nim

Uczynił ze mnie byt, który rozplynął się w powietrzu i ścianach. Delikatna powłoka mojego ciała była jak płyn pochłaniający promienie rzeczywistości.

Był też lęk. Czaił się w ciemności. Ukrywał się w negatywnych emocjach, jak w krzakach. Próbował odrywać ode mnie fragmenty mojej jaźni, zrywać ze mnie płaty mojej postaci. Chciał zrobić to już od dawna, ale dopiero teraz widziałem go tak wyraźnie.

Wdziąłem też coś. Coś było mną, ale nie byłem to ja. Nie patrzyło na mnie, lecz czułem, że mnie widzi. Było obdarzone skórą. Tylko jego nie jestem w stanie opisać głębiej. Przerażał mnie, ale był również i blisko. Tańczył w rytm czasu. Jego powierzchnia pływała w wodnistym powietrzu.

Mateusz Przybył 3Ag

Ławkowe rewolucje

Piaseczno, drugi września, godzina 7:26. Jadę autobusem i nagle rozbrzmiewa dźwięk czółówki *Hanny Montany*. Już z każdej strony czuję spojrzenia starszych pań. Potajemnie odbieram telefon i słyszę głos mojej przyjaciółki: „*Msja-ŁAWKA*”. Od razu wiem co robić, potwierdzam odbiór zdania bojowego, wysiadam z autobusu i sprintuję do szkoły. W tym momencie moje życie ma tylko jeden cel – zajęcie miejscówki w ławce.

Stoję już przed salą numer 3, modłę się, żeby nikt nie siedział w ostatniej ławce w rzędzie przy oknie. Jest to miejsce walk i końca wielu znajomości, ponieważ każdy chce usiąść tam, gdzie w trakcie lekcji można się najeść, wypać i porozmawiać – po prostu raj. Nie chcę zawieść mojego zleceniodawcy. Z sercem w gardle otwieram drzwi i widzę tylko ją – piękną, idealnie usytuowaną i co najważniejsze pustą ławkę. Z dumą zajmuję w niej miejsce i wysyłam sms „*Msja zakończona sukcesem*”

Za pięć minut zaczyna się lekcja. Ja i moja przyjaciółka z podziwem patrzymy na dwóch kozaków, którzy mieli czelność usiąść w trzeciej ławce w środkowym rzędzie. Oni jeszcze nie wiedzą co ich czeka. Wtedy wchodzi ONA, już wzrokiem kasuje tych śniatków i z impetem kładzie im plecak przed nosem. Przyglądam się i nie wiem co jest dla nich gorsze, to czy pobyt w piekle. Zaczyna się prawdziwa wojna. Ja jako mediator podchodzę i mówię, że jest tylko jedno rozwiązanie tego sporu. Gra w papier, kamień, nożyce. Zaczęły się przygotowania do walki, każda z drużyn obmyśla taktykę. Niestety zwycięzca może być tylko jeden, więc dwójka śniatków jak szybko się pojawiła tak szybko zniknęła.

Spoglądam w przód i widzę miejsce dla osób odważnych, które lubią adrenalinę. Pierwsza ławka przy oknie, naprzeciw nauczyciela. Nby na widoku, jednak można schować się za komputerem. Wydaje się to miejsce idealne, nikt nie będzie cię podejrzewał o ściąganie, jest to jednak bardzo ryzykowne.

Jako osoba doświadczona w temacie, radzę mentalnie i fizycznie przygotować się do tego. Może wydawać się to łatwe, jednak jest to walka o byt a uwierzcie mi, nie chcecie być na końcu łańcucha pokarmowego.

Dominika Bartosz 2A

Human baluje, biolchem haruje

Zbliża się kartkówka z chemii, czyli ogromne wyzwanie dla humana. Udaję się po pomoc do starszej siostry na biolchemie. Ona sama zakuwa na sprawdzian. Cóż, nie jestem zdziwiona. Ciężko ją na co dzień zobaczyć w innym wydaniu. Ukradkiem zaglądam w jej książkę i czytam jakieś zaklęcia: 2,3-dimetylobenzen, czy tetrachlorometan. Wychodzę przerażona. Następnego dnia w szkole mijam grupkę biolchemów. Kłócą się o wynik zadania z biologii. Słuchając ich niewiele rozumiem. Po powrocie do domu nie czeka mnie nic innego. Czterdziestominutowy wykład na temat rekombinacyjnej zmienności genetycznej. W tym momencie targają mną różne emocje – od przerażenia po podziw. Zaciekawiona tym niezwyklej profilem musiałam, niczym prawdziwy biolog, przeprowadzić obserwacje i dowiedzieć się więcej o tym gatunku. Z moich obserwacji wynika, że nauka jest nieodłącznym elementem ich dnia, a sen schodzi na drugi plan. W szkole mają jedynie załączek tematów, w domu zaczyna się dopiero dużo pracy. Spodziewałam się zobaczyć ich w białych fartuchach i okularach ochronnych, trzymających probówki z różnymi substancjami, niestety bardzo się zawiodłam. Z pierwszej ręki dowiedziałam się, że „wszyscy walą ściemę, nie ma laboratoriów” z powodu remontu, nad czym sami zainteresowani bardzo ubolewają. Nawet dni wycieczek rzadko są ulgą i odpoczynkiem, gdyż w większości przypadków są one wykładami, laboratoriami, czy oglądaniem roślin. Po zapytaniu się członka tej klasy co sądzi o powszechnym wynoszeniu biolchemów na piedestał, z dumą odpowiedział, że sam ma się za jednostkę wybitną. W końcu biolchem to najbardziej rozchwytywany profil, pełen tych „najmądrzejszych uczniów”. Ja jednak, żyjąc w podziwie dla biolchemów, jestem szczęśliwa tam, gdzie jestem, bo na humanie chociaż ktoś się uśmiecha.

Oliwia Musiałek 2A

Okropny Instagram a rzeczywistość

Czasem wydaje mi się, że prawie każdy aktywny posiadacz Instagrama chodzi w pewne miejsca tylko po to, aby pochwalić się tym na swoim profilu. Choć jest to infantylne, to bardzo wielu ludzi tak robi. Żenujące? Ale każdy boi się to powiedzieć. A taka jest prawda...

Chodzą na siłownię, wydawałoby się że chcą poćwiczyć, poprawić sylwetkę na lato, a tak naprawdę pierwsze, co robią to wstawiają zdjęcie na Instagrama, które ma pokazać całemu światu, a przede wszystkim znajomym „patrzcie, jestem na siłowni!”. Jakby jeszcze pójście na siłownię było czymś zaskakującym. Ludzie chodzą od wielu, wielu lat i nikt wcześniej się tym nie zachwycał. A właściwie każdy może sobie pozwolić na pójście czasem na siłownię, która podobno służy do ćwiczeń, więc nic nadzwyczajnego. Idą do znanej kawiarni, zamawiają kawę, odbierają ją i co robią? Zdjęcie! Ale szybko, żeby mleczna pianka nie zdążyła opaść, bo już nie będzie tak ładnie wyglądać, a w końcu na kubku jest moje imię. Po co? Żeby wszyscy widzieli, że jestem w znanej kawiarni i piję kawę. Strasznie to smutne, ale prawdziwe. Tak samo zamówione jedzenie z restauracji. Kelner podaje do stolika zamówione danie, jeszcze słyszymy echo przez niego wypowiedzianego „smacznego”, a już wyjmujemy telefon i robimy zdjęcie zamówionego dania. Niektórzy pewnie zamawiają nie to, na co mają ochotę, a to co lepiej będzie wyglądało na zdjęciu na Instagrama. Choć i tak najgorszą rzeczą, jaką robią użytkownicy Instagrama to nagrywanie filmików,

gdy prowadzą samochód. Szczyt braku rozumu, naprawdę. Momentami zastanawiam się, czy ci ludzie mają choć odrobinę działającego mózgu, rozumu. Nie dość, że nie myślisz, że przez takie idiotyczne zachowanie możesz stracić zdrowie lub co - gorsza życie, to jeszcze możesz je odebrać niewinnemu człowiekowi. Dlaczego? Bo chciałeś nagrać kilkusekundowy filmik, jak jedziesz 150 km/h swoim autem i wstawić go na Instagrama, niech widzą i zazdroszczą, a co! Może ktoś mi pozazdrości, że jestem taki fajny. Nie wierzę, że coś tak głupiego zaślepia ludziom oczy i odbiera rozum. Tak, jak te zdjęcia z siłowni czy kawiarni są jeszcze na granicy dobrego smaku i do wybaczenia, tak te filmiki nagrane podczas prowadzenia auta są już Mount Everest idiotyzmu. Najgorsze jest to, że młodzi ludzie myślą, że to ma jakąś wartość, a nie ma żadnej. Pokazuje tylko puste i nic niewnoszące do Twojego życia zachowanie. Warto czasem zastanowić się, co się robi i czy ma to w ogóle jakikolwiek sens. Jak już coś pokazujesz, to zadaj sobie pytanie, po co i dlaczego chcesz to pokazać. Nie musimy każdego wyjścia z domu, zjedzenia kolacji w restauracji czy innych przeróżnych, prozaicznych czynności upubliczniać. Poza tym takie chwalenie się wszystkim, nigdy nie było czymś pozytywnym i myślę, że nigdy nie będzie...

Aleksandra Wołczek 3Ag



Równia pochyła szansy

Żyjąc w XXI wieku nie musimy bać się o dostęp do edukacji; to już nie te czasy, w których tylko najbogatsza warstwa społeczeństwa mogła sobie pozwolić na takie luksusy jak zdobywanie wiedzy. A jednak „wyrównywanie szans” poprzez powszechnie dostępne nauczanie szkolne nie do końca jest tymże „wyrównywaniem”.

Weźmy na tapet hipotetyczną sytuację. Jesteś uczniem kończącym podstawówkę (czy też jeszcze do niedawna gimnazjum) i chcesz kontynuować swoją edukację w szkole dwujęzycznej z rozszerzonymi przedmiotami humanistycznymi – językiem polskim i historią. Marzy ci się w końcu kariera tłumacza.

Zadowolony z siebie znajdujesz szkołę, która spełnia twoje oczekiwania, ale jest jedno „ale”. Placówka znajduje się w najbliższym „dużym” mieście, a najbliższe „duże” miasto jest oddalone od twojego domu o półtorej godziny drogi w jedną stronę. A jeżeli bierzemy pod uwagę komunikację miejską – ponad dwie. I co teraz? Biec na autobus o w pół do szóstej rano? Płacić za akademik (o ile jakiś jest w okolicy)?

Końcem końców ze smutkiem decydujesz się na inną, też dobrą szkołę, która jednak nie spełnia wszystkich twoich oczekiwań – rozszerzone język polski i historia w prawdzie są, ale zamiast rozszerzonego angielskiego masz wiedzę o społeczeństwie, chociaż kariery prawniczej nie planujesz. Dojeżdżasz w pół godziny autobusem.

Po niedługim czasie godzisz się z losem, zasuwasz na „korki” z angielskiego, próbując rozszerzać swoją wiedzę z tego języka. W któreś wakacje poznajesz nową osobę, podchodzącą do życia w bardzo „luźny” sposób, w wielu nałogach pomimo niecałych szesnastu lat. Rozmowa klei się średnio, ale w pewnym momencie dowiadujesz się, że osoba chodzi do prywatnej szkoły dwujęzycznej, w której rozszerza to, co jej się żywnie spodoba. I jest jedyną osobą w całej klasie. Jednak to wszystko znaczy dla osoby tyle, co nic.

A ty, dzieciak z rodziny, której nie stać na takie luksusy, dzieciak, który chce osiągnąć jakiś cel, stara się, słucha tej osoby i walczy z chęcią wykrzyknienia najpaskudniejszych obelg prosto w jej twarz. Pomimo dobrego wychowania, wrodzonej grzeczności.

Następnego dnia „garniturowy ludek” z telewizora mówi o wyrównanych szansach dla wszystkich uczniów, które zaistniały dopiero za czasów jego rządów. A ty, zirytowany wyłączasz urządzenie i zaczynasz wątpić we wszelką równość czy sprawiedliwość.

Historia opisana w tekście jest zestawieniem rzeczywistych wydarzeń z życia własnego i bliskich znajomych.

Wiktoria Wiśniewska 3Ag

Przywara narodowa

Tak sobie człowiek siedzi i myśli, co by tu napisać? Głowi się tak z tydzień, aż wreszcie przychodzi do niego mistyczna „vena”. Pisze, pisze i... napisał – światowej klasy narzekadko

Bo czyż Polacy nie są światowej klasy narzekadkami? Cokolwiek by się nie działo, potrafimy tylko narzekać. Słońce świeci – źle, słońce nie świeci – źle. Gorąco – źle, zimno – źle. Stodko – źle, gorzko – źle.

Chodzimy do szkoły – źle. Kto chciałby wcześniej wstać, spędzać po 45 minut (z przerwami) w ławkach według czyjegoś planu i w dodatku być ocenianym? A że przy okazji zdobywa się jakąś wiedzę to nieważne.

Chodzimy do pracy – też źle. Szablonowe osiem godzin (zwykle) za biurkiem lub na nogach, albo coś dźwigamy, albo wlepiamy gałki oczne w monitor. Za taką robotę płacą mamie, a jak już zdarzy się podwyżka, to inflacja jest z nią w pakiecie. „Somsiad” natomiast ma nowe auto! I to bez leasingu! A ty, biedny człowieku, jeźdź tym kilkunastoletnim Oplem z rozpadającym się zawieszaniem

Przechodzimy na emeryturę – niby dobrze, ale nie do końca. Bo co ma robić człowiek sam w domu czy też w mieszkanku? Sprzątać? Czytać książki? Z tym wzrokiem? A może wychodzić na spacerki? (O ile jest gdzie...) Może sprawić sobie zwierzątko, żeby nie było nudno? (O ile poradzimy sobie z zajmowaniem się tymże stworzeniem...) No tylko pozostaje oglądać tureckie, bądź brazylijskie dramaty obyczajowe lub jak niektórzy lubią je nazywać tragi-horror. A potem zaczyna się narzekanie – a to że motywy się powtarzają, a to że fabuła jest przewidywalna...

Tak sobie człowiek siedzi i myśli, na co można jeszcze narzekać? Głowi się chwilę, aż wreszcie go oświeca. Narzekać można na wszystko, ale mało kto narzeka na brak inicjatywy, żeby powody do narzekania chociażby zminimalizować.

Wiktoria Wiśniewska 3Ag

Starość (NIE) radość

Od zawsze mówiono mi, że jeżdżenie autobusem każdego dnia jest raczej wyczerpujące. Dla przykładu - mój brat wytrzymał ledwo dwa miesiące zanim uciekł do internatu. Prawda, ciężko jest uniknąć czekania, tłoku i niemiłych kierowców, ale nic nie sprawia mi takiej rozrywki jak starsi ludzie rządzący się jak we własnym domu. Jakaś awantura, komentarze - takie rzeczy są na porządku dziennym. To już nie babunia czy dziadek, zapraszający cię na obiad twoich marzeń, ale demony czyhające na twoje siedzenie. I zapewne ustąpiłabym miejsca ludziom naprawdę tego potrzebującym, ale przesypiam całą drogę do domu. Raz wracałam zmordowana, było mniej ludzi niż zazwyczaj, ale i tak niektórzy musieli stać. Zawsze mam to szczęście, żeby znaleźć sobie miejscówkę. Chłopak siedzący obok mnie nie nacieszył się siedzeniem zbyt długo. Do autobusu weszła kobieta w średnim wieku i stała nad nim, przesywając jego duszę morderczym spojrzeniem. Jak to tak, nie ustąpić jej miejsca? Starsza para siedząca przed nami bardzo chętnie dołączyła się z komentarzami o tej dzisiejszej, niewychowanej młodzieży, która niestety nie ma oczu z tyłu głowy i nie widzi, jak ktoś tam sobie mamrocze przy drzwiach. Rzucili się na chłopaka jak wygłodniała zwierzyna na padlinę. Moją taktyką na unikanie takich ludzi jest udawanie, że śpię. Chyba nie przesuną mnie siłą, prawda?

Nic jednak nie przebijie ostatniej akcji, kiedy pani łaskawie odstawia nam cały teatrzyk. Przeszła do historii jako "ta pani od masечek", która była gotowa przewrócić cały autobus do góry nogami, byleby tylko każdy miał ją na sobie. "A co, jeśli zachoruję?" To się trzeba było za-

ramienia mogły przyczepić. Zamiast przysunąć się bliżej okna, zrobiła sobie na drugim siedzeniu prywatny salon. Torby z zakupami, jedzeniem, zapewne też gazeta i krzyżówki. Żadnego wysiłku z jej strony, najlepiej, gdyby wszyscy wysiedli, bo pani naskarży kierowcy, który, jakże nie-spodziewanie, sam nie nosił masечki. Gdyby autobus nie pełnił w moim życiu roli prywatnej sauny, nie miałabym problemu z siedzeniem w masce przez całą godzinę. Chciałabym jednak dojechać do domu nadal w jednym kawałku. Jak to pięknie ujął nieznany mi chłopak stojący niedaleko mnie - "pani zawatu dostanie, jak więcej osób wsiądzie". Nie raczyła już z nami debatować, bo przecież i tak ma rację. Powiedzieliśmy jej ładne "Do widzenia" i nikt nie krył ulgi, że ta kobieta w końcu wykonała swój taktyczny odwrót.

I po co to wszystko? Różnice pokoleniowe czy niektórzy starsi ludzie po prostu lubią dominować miejskie autobusy? Nie lepiej po prostu spojrzeć się w okno i zająć swoimi sprawami? Nie mogę zaprzeczyć jednak, że przez trzy całe lata, urozmaiciło to moje raczej nudne godziny spędzone jeżdżąc wtę i z powrotem

Zuzanna Będkowska 3Ag



Wenus wspodniach

Kanony ludzkiego piękna. Absurdalne, wyniszczające, potrzebne – cokolwiek się o nich nie powie, trzeba przyznać, że jest ich wiele. Na tyle, że z łatwością wywołują szok kulturowy u przeciętnego Polaka. Pewnego dnia przeprowadziłem z rodziną rozmowę. Temat: „Czy mężczyzna może być nazwany „pięknym”, czy przystojny to jedyne poprawne określenie?” Oczywiście nie doszliśmy do żadnego wspólnego wniosku, jednak, aby znaleźć jakikolwiek argument poza „Nb bo ja tak myślę i tyle”, postanowiłem przytoczyć przykład Azjatów. Dokładnie Koreańczyków.

Rada na przyszłość – nie róbcie tego.

Ne wspominajcie o kimkolwiek innym oprócz najbardziej męskim z męskich: europejskim białym mężczyźnie. Dlaczego? Pewna osoba zbulwersowała się i naburmuszona oraz oszaloniona stwierdziła, że „to pokolenie jest”... łagodniej mówiąc, niekoniecznie zdrowe psychicznie.

Czy to tak naprawdę szokujące, że komuś odpowiada inny kanon piękna? Wdocznie tak. A biedne dzieci zostały brutalnie uderzone tajfunem koreańskiego popu, serialami wypełnionymi aktorami o różnych kolorach skóry, toną „aestheticów” i kierują nimi różne subkultury. Media społecznościowe otwierają wrota możliwości. I co teraz?

Bjcie na alarm! dnijcie w trąby Jerychońskie! Hanka z 3E (wszelkie podobieństwo niezamierzone) ma łącznie cztery piercingi. Ówieki, zwykła biżuteria lub tatuaże? Gdzie tam! Przecież tak swojego ciała nie można okaleczać. A co dopiero pomalowane paznokcie u chłopaków. I ja nie mówię tu o typowym czarnym lakierze, nie... A żeby prawdziwy mężczyzna był zadbany? Nb chyba żarty sobie ze mnie stroicie.

Wem przesadzam. Zwykle ludzie nie patrzą na wyżej wymienione rzeczy i nie odganiają od siebie złych duchów. Jednak wydaje mi się, że nie tylko starsi, ale i młodzież nie może ze sobą współegzystować. Szczególnie przy obecnej „walce z ideologią dżender”. Przykład niczym znikąd, tylko że to queerowe społeczności podczas całego

swojego istnienia ciągle walczyły i walczą z rolami płciowymi oraz stereotypami.

Jak najbardziej rozumiem, że część społeczeństwa boi się zmian i trzyma się kurczowo tradycji. Stałe, dobre wartości są dla przeciętnego człowieka nieruchomą kotwicą. A ta, wbita w pędzący przed siebie z niewiarygodną prędkością świat, uziemia ich i pozwala im nie spaść w metaforyczny kosmos. A co tam na nich czeka, oprócz rozpacz, załamania i niepanięci?

Jednak, jak to mówi stare, dobre przysłowie – „Ne oceńniaj książki po okładce”. Jesteśmy różnorodni. Cieszymy się tym! Czy to nie w ciężkiej i stresującej biurowej atmosferze nie potrzeba nam odrobiny ciepłego, jasnego koloru? A jeśli przyjdzie on w formie różowych włosów współpracownika? Co kogo obchodzi, co się drugiemu podoba estetycznie? Jeżeli kobieta może nosić spodnie, mężczyzna w sukience nie powinien wywoływać skandalu.

Jan Żeliński 2A

Granica

Wdzisiejszym świecie granice są nieustannie zamykane i przekraczane. Najpierw granice naszego kraju zamknął COVID, teraz kryzys uchodźczy. Podczas gdy zamknięte są granice państwa, przekraczane są te wewnętrzne.

Przez kontrowersyjną decyzję Trybunału Konstytucyjnego o aborcji, po ustawy „Lex TVN”, kontrowersje w strefach zarządzania państwem są dziś codziennością. Jednak czy kontrowersja decyduje o błędzie?

Wpункt trafia tutaj powiedzenie: „Gdzie dwóch Polaków, tam trzy zdania”. Kontrowersje są dookoła nas, daleko i blisko, jak na przykład decyzja o braku tegorocznej studniówki....

Kosma Kłagisz 3Ag

Liczyć umiem..na siebie

Myślę, że gdybym miała stwierdzić czego boję się najbardziej, to tuż po samodzielnym urównieniu się na wizytę lekarską, miejsce zajęłaby matura z matematyki. Ocean też wylewany za każdym razem nad kartkami pełnymi liczb to absolutny "must have". I choć to trzydzieści procent może się nie wydawać satysfakcjonujące, ja taki wynik mogłabym wziąć w ciemno, wręcz przyjąłabym do siebie z otwartymi ramionami. Nie oznacza to jednak, że jako bez troska pierwszoklasistka nie myślałam o tym demonie z przyszłości, jednak proszę mi uwierzyć, że stan którego doświadczyłam w trakcie ciepłego, lipcowego dnia był nadzwyczaj krytyczny. Dzień zagłady nieubłagalnie nadchodzi.

Pod rękę z wrześnie wkraczałam w nowy rok szkolny pełna motywacji i siły. Wkońcu matematyki uczę się od lat, pomijawszy fakt, iż jest to moja piąta Achillesowa. Chcąc nie chcąc trafiłam do naprawdę dobrej szkoły średniej. Lecz moje różowe okulary pękły gdy na moim koncie zawitała nieproszona jedynka z kartkówki. Uwiercie mi, że jest to największy dramat dla humanisty. Wtedy to w niesamowitym humorze, pełnym płaczu, myśli samobójczych i rezygnacji podjęłam się nauki do poprawy. Oczywiście efekty pracy były przednie i zdałam sobie sprawę z tego, że nawet ta wycieczka do Częstochowy nic a nic mi nie pomoże. Marazm którego sprawcą jest matematyka, królowa nauk sprawił, że ja jako biedny zagubiony artysta w świecie liczb, cyferek, ułamków i pierwiastków doszczętnie utraciłam chęć do zmagania się z nim. No tak, a matura sama się nie napisze, więc wzdychać i rozmyślać mogę, a ona i tak mnie dosięgnie, obwinie się wokół mojej szyi niczym węzłowa, po czym zadusi a na końcu potknie (ewentualnie wypłuje z powrotem na światło dzienne, gdybym uratowała swą nędzną dolę poprawką).

Barbara Garbarska 3Ag

Cudzoziemcy w polskiej szkole

Chyba każdy zgodzi się z twierdzeniem że szkoła to miejsce interesujące. Oczywiście, z reguły kojarzące się z licznymi obowiązkami, ale też z ludźmi, z którymi często potem idziemy przez świat. To tu zazwyczaj nawiązujemy przyjaźnie, a nawet przeżywamy pierwsze miłości. Towarzystwo kolegów i koleżanek, tych, których lubimy, z którymi czujemy się związani, daje nam nie tylko radość i przyjemność, ale też poczucie bezpieczeństwa. To towarzystwo to zazwyczaj młodzi ludzie tej samej narodowości, naturalna wspólnota.

Zdarza się jednak, że do szkoły uczęszczają, z różnych powodów, osoby innej narodowości. Czy jest im łatwiej? Czy szybko

nawiązują kontakt z Polakami? Czy w ogóle zdajecie sobie sprawę z tego, jak tutaj czujemy się my – cudzoziemcy?

Moje pierwsze spotkanie z Polską... Czuję ciepły i przyjemny zapach, przede mną tyle planów do zrealizowania. Z trudem próbuję doczekać, aż pójde do szkoły i spotkam swoich nowych kolegów i koleżanki. Znajomość języka nie była dla mnie problemem, umiałam mówić po polsku, dlatego myślałam że kłopotu z porozumiewaniem się nie będzie. Czegoż więc się bać?

Wreszcie nastąpił ten przyjemny czas, kiedy weszłam w przestrzeń „Narii”. Czemu „Naria”? Zaraz wytłumaczę... Przejście ze szkoły ukraińskiej i w ogóle z Ukrainy do polskiej szkoły to było dla mnie jak wejście w inny świat. Tak jak dla bohaterów „Opowieści z Narii” wejście do tej magicznej krainy.

Pierwszy dzień... tłum hałas, każdy mówi „dzień dobry”, kwiaty, dużo nauczycieli, dzwonek. Przez chwilę mi się wydawało, że to sen, ale jak podeszła do mnie dziewczyna z pytaniem „Gdzie stołówka?”, uznałam że to jednak rzeczywistość.

W ciągu kolejnych dni moja znajomość polskiego okazała się jednak niewystarczająca. Mnóstwo osób mówiło młodzieżowym slangiem co nie raz sprawiło mi kłopot. Zdarzyło się nawet, że wprawiło w zły humor, bo niczego nie rozumiałam, zadziały emocje i prawie się popłakałam.

Spotkanie z klasą wypadło dobrze. Ale do tej pory nie wiem jakie mają nazwiska. Bariera językowa jednak jest i utrudnia zapamiętywanie nietatwych słów. Z tego powodu problemem dla cudzoziemca jest znajomość z nauczycielami. Wchodzi nauczyciel i mówi: „Dzień dobry, jestem...”, a dalej wszystko... jak w chmurach. Jak to wszystko zapamiętać? To może wydawać się śmieszne, ale szczerzę mówiąc, nie mogłam sobie z tym poradzić.

Spotkało mnie również dużo hejtu ze strony młodzieży, gdyż nie każdy lubi obcokrajowców. W sumie nie wiem dlaczego. Czy różnimy się tak bardzo? Czy jesteśmy gorsi? Na pewno nie. To było przykre, ale nawet z tym dałam sobie radę. Starłam się nie zwracać na to uwagi, nie reagować. Przeczekać, aż ludzie mnie poznają i sami zobaczą, że jestem tak naprawdę jak oni, że nie należy skreślać drugiego człowieka tylko dlatego, że jest z innego miejsca, innej kultury, innego kraju... I cały czas starałam się nie myśleć o ludziach źle. Czy udało mi się to wszystko dlatego, że lubię ten kraj? Bo tak właśnie jest. Po prostu go lubię.

Szkola budziła dużo emocji, pozytywnych, ale i negatywnych. Dzięki moim nauczycielom i znajomym oraz moim bliskim podszkoliłam język polski i zaczęłam pozytywnie myśleć o szkołach w Polsce, z czego jestem bardzo zadowolona.

Hilyna Desheva 3Ag

Ślubny must-have

W wieku osiemnastu lat mogę się w końcu czymś pochwalić – mam odpowiedź na jedno z tych pytań, których nikt nigdy nie zadaje.

Jak wygląda zdenerwowany ksiądz na mszy świętej? Otóż jak wielki nietoperz. Albo jak Snape, *choose your fighter*. I nie

mam tu na
myśli jego
urody, tylko
sutannę. Po-
wodem jego
wzburzenia
byli kandyda-
ci do bierz-
mowania. Na
dworze ziąb,
palce tak
zdrętwiałe, że
ledwo da się
korzystać z
telefonu –

jednak jakaś tajemnicza siła powstrzymywała ich od wejścia do kościoła. Jedni okupowali ławki pod plebanią, a jeszcze inni beztrząsliwie gawędzili pod sklepem obok. Dopiero Snape'owska reprimenda sprawiła, że włączyli się falą do środka, tylko po to, żeby zająć tylne miejsca i przeczekać resztę mszy. Jedna z dziewczyn nawet zasnęła na komunii świętej. A absolutnym mistrzem jest chłopak słuchający dubstepu na słuchawkach.

Wsunie rozumiem ich znużenie, bo przez pandemię znużenie zbierają nędzne podpisy już od dwóch lat. Ale nasuwa się to jedno filozoficzne pytanie – po co? Jaki

jest sens się męczyć? W końcu noża przy gardle nie mają, a Bóg ma już tylu wiernych niepraktykujących, że kolejna czterdziestka mu raczej wisi. W tym wieku raczej jest już się na tyle samodzielnym, że rodzice nie dadzą rady zmusić ich do takiej katongi. Powód jest o wiele mniej skomplikowany – no bo jak to tak brać ślub cywilny? (Prawie) każda dziewczyna chciałaby kiedyś się wcisnąć w białą

suknię i
(prawie) każdy
chłopak
chciałby z wy-
branką podejść
do ołtarza z
przygrywają-
cym im mar-
szem wesel-
nym. Wokół
kwiaty i świe-
ce, na ze-
wnątrz trady-
cyjne rzucanie
ryżu albo mo-

net. Wzruszenie tak kolorowo nie jest, a welon by zawadzał o wszystko po drodze. Pocatunkowi nie przygląda się setka gości, tylko dziesiątka. A o marszu weselnym można sobie pomarzyć.

Dlatego czasem należy się poświęcić. Są rzeczy ważne i ważniejsze. Odbębni się i będzie z głowy, a biedne kościelne mury nie będą musiały nas oglądać przez kilka kolejnych dobrych lat. W końcu papierka nie zaszkodzi mieć, a o to, co sobie pomyślą o nas na górze, będziemy się później martwić.

Zuzanna Malesa 3Ag



Prawdziwe dźwięki

Co jest prawdą? Reżyser zdaje się nas pytać przez cały film. Dramat polityczny pod tytułem „Wybuch” z 1981 roku w reżyserii Briana de Palmy to wciągająca i trzymająca w napięciu opowieść o młodym dźwiękowcu, Jacku, granym przez Johna Travoltę. Chłopak pracuje w niskobudżetowej wytwórni horrorów. Pewnego wieczoru podczas nagrywania dźwięków do filmu, Jack staje się przypadkowym świadkiem wypadku samochodowego. Dzięki swojej szybkiej reakcji, udaje mu się uratować pasażerkę, o imieniu Sally, (w którą wciela się Nancy Allen), siedzącą w tonącym samochodzie. Jednak kierowcy, będącym, jak dowiadujemy się później gubernatorem kandydującym na prezydenta, niestety nie udaje się przeżyć.

Emocjonująca intryga zaczyna się jednak nieco później, kiedy to Jack wsłuchuje się w dźwięki nagrane tuż przed i w momencie samego wypadku. Razem z nim dokładnie słyszymy dźwięk przestrelania opony, co świadczyłoby o intencjonalności wypadku. Mając do dyspozycji materiały dźwiękowe jak i zdjęcia zamieszczone w gazecie, Jack wraz z Sally stara się udowodnić prawdziwość swojej teorii.

Film wydaje się być inspirowany innymi obrazami. W dużym stopniu przypomina „Powiększenie” Antonioniego z 1966r., w którym to fotograf coraz bardziej i bardziej powiększa zrobione przez siebie zdjęcia, będąc przekonanym o tym, że uwieczniona została na nich scena śmierci.

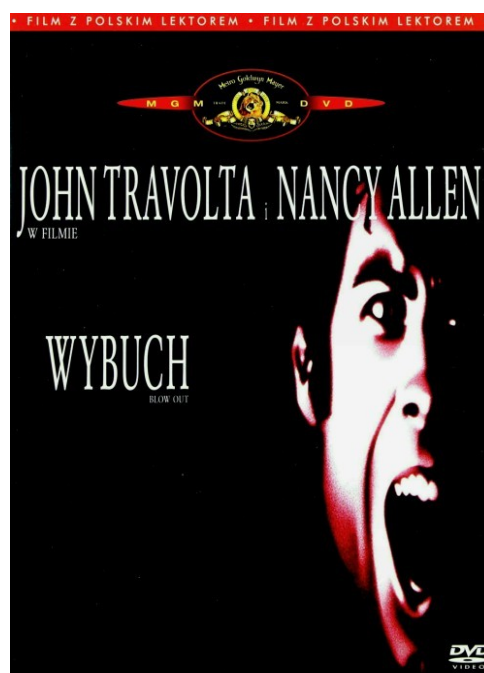
De Palma nawiązuje również do innego filmu – „Rozmowy” Coppoli z 1974r., historii specjalisty dźwiękowego, który po usłyszeniu nagranych materiałów, pragnie zapobiec sytuacji, wyglądającej na próbę morderstwa. „Wybuch” łączy w sobie motywy znajdujące się w obydwu filmach, tworzy jednak inną, odrębną historię. Jest ona

refleksją dotyczącą zbyt wielkiego zaufania, jakim obdarzamy technologię oraz zawodu, jaki nam sprawia.

„Wybuch” porusza też motyw iluzji, jaką jest film. Już pierwsza scena jest rodzajem manipulacji, której my, widzowie zostajemy poddani. Widzimy mordercę trzymającego w ręku nóż, który obserwuje przez okno młode kobiety i szykuje się do ataku. Scena stanowiąca hołd dla filmów takich jak między innymi „Podglądacz” (1960r.) Powella i „Halloween” (1978r.) Carpentera stanowi część horroru nagrywanego przez studio, w którym pracuje Jack. Motyw iluzji ilustruje również postać Sally, która zajmując się makijażem i marzy o pracy przy produkcji filmów.

Wszystkie motywy ukazane w „Wybuchu” spotykają się na końcu filmu, tworząc smutne, lecz idealne zakończenie, będące stadium tragizmu głównego bohatera. Myślę, że „Wybuch” to mistrzowski film Briana de Palmy, w którym wszystkie elementy, począwszy od opowiedzianej historii, po grę aktorską, użycie kolorów aż do świetnej ścieżki dźwiękowej zdają się idealnie współgrać, tworząc niezapomniane doświadczenie.

Helena Świątała 3Ag



Szukając sprawiedliwości

Najnowszy film Jana P. Matuszyńskiego pt. "Żeby nie było śladów" to tegoroczny polski kandydat do nagrody Oscara. Premiera miała miejsce 24 września tego roku, a scenariusz został oparty na podstawie genialnej książki reporterskiej Cezarego Łazarewicza o tym samym tytule.

Akcja filmu toczy się w roku 1983. Historia opowiada o młodym poecie, Grzegorzu Przemku, który po dobrze zdanej pisemnej części matury wraz z przyjacielem Jerzym Popielem świętują wyniki na ulicach starego miasta w Warszawie. Lekko podpić, przykuwają uwagę milicjantów, którzy przewożą chłopa na komisariat przy ulicy Jezuickiej, na którym Przymek został zakatowany na śmierć. Jedyne świadkiem wydarzenia, czyli przyjaciel Grzegorza, Jerzy staje się celem komunistycznego rządu oraz aparatu bezpieczeństwa. Bohater jest represjonowany, inwigilowany i prześladowany, a wszystko to po to, aby zmienić obciążające milicjantów zeznania. Jednak Jerzy gotów jest iść na wojnę z całym światem, aby ukarać zabójców swojego przyjaciela.

Historia przedstawiona w filmie rozwija się powoli. Bliższe trzygodzinny seans wymaga od widza skupienia i cierpliwości. Obraz rozpoczyna się od szokującego oraz brutalnego prologu, a później znacząco przygasa stopniowo i powoli rozwijając kolejne wątki, aby na koniec wstrząsnąć publiką końcowymi scenami. Kadry operatora są chłodne i idealnie wpasowują się w ówczesną rzeczywistość. Na duże pochwały zasługuje również scenografia, w której lokalizacje zostały dobrze oraz niezwykle realistycznie odtworzone. Również kostiumy, a także charakterystyka postaci nie ma nic do zarzucenia. Gra aktorska w filmie Matuszyńskiego stoi na bardzo wysokim poziomie. Rola Jerzego Popiela została doskonale odtworzona przez Tomasza Ziętkę. Warto wspomnieć również o niezawodnej Aleksandrze Koniecznej w roli prokuratora Bardona oraz o chłodnym i bezkompromisowym Robertcie Węckiewicz wcielającym się w generała Kiszczaka.

Zatem „Żeby nie było śladów” to kolejny genialny film w dorobku reżyserskim Jana P. Matuszyńskiego. Świetnie zagrany oraz bezbłędnie wyreżyserowany obraz zasługuje na miano jednego z najlepszych polskich filmów roku.

Dominik Szerszeń 3Ag

Recenzja książki "Na marginesie życia" S. Grzesiuka

Sanatoryjna wegetacja

O tym, jak choroba zmienia życie. Tak jednym zdaniem można by opisać książkę Stanisława Grzesiuka pt. "Na marginesie życia". Mimo, że lektura jest dość leciwa, bo ma ponad 60 lat, to nadal cieszy się dużym zainteresowaniem wśród czytelników. W 2018 roku wydana została wersja z wyciętymi przez cenzurę fragmentami, co dodatkowo dodaje walorów biografii Grzesiuka.

Fabula kręci się wokół pobytu autora w sanatoriach gruźliczych. Podczas lektury czytelnik poznaje każdy aspekt życia sanatoryjnego. Tę, jak wygląda przekrój chorych, warunki życia i traktowanie pacjentów. Autor przy tym nie pomija tematów kontrowersyjnych, takich, jak seks, związki między pacjentami i personelem. W książce znajdziemy opisy operacji, które często są drastyczne.

"Na marginesie życia" porusza też problem uzależnień. Pacjenci, mimo że byli w ciężkim stanie, nie potrafili powstrzymać się od picia alkoholu i palenia papierosów, które miały działanie destrukcyjne dla całego procesu leczenia gruźlicy. Alkoholizm w sanatoriach był problemem powszechnym.

To, że gruźlicy byli stygmatyzowani ze względu na swoją chorobę, jest faktem nieznanym w dzisiejszych czasach. Grzesiuk wspomina wielokrotnie o tym, jak ludzie odsuwali się od niego dlatego, że jest chory. Ludzi nie interesowało to, czy ktoś prątkuje, zaraża czy nie. Chory miał także problem ze znalezieniem pracy, nikt nie chciał zatrudnić gruźlika.

Trzecia książka z trylogii Stanisława Grzesiuka jest ewidentnie najsmutniejsza, pisana pod koniec życia autora, kiedy wiedział, że nie zostało mu dużo czasu. Mimo to książka jest bardzo dobra, ma styl znany z poprzednich jego utworów i na pewno jest warta polecenia, bo porusza problemy aktualne po dziś dzień.

Bartosz Kosewski 3Ag

Wy bawcie się w wojnę, ja robię ciasto

Z okazji setnych urodzin, rok 2021 został ogłoszony rokiem Tadeusza Różewicza. W związku z tym w Teatrze Telewizji miała miejsce premiera spektaklu "Stara kobieta wysiaduje", w reżyserii Andrzeja Barańskiego.

Sztuka składa się z dwóch części. W pierwszej, akcja rozgrywa się w ogrodzie botanicznym. Dominują w niej rozmowy tytułowej bohaterki, poruszającej się na wózku (Ewa Dątkowska), z młodym przystojnym kelnerem (Vova Makovsky). W trakcie tych rozmów kobieta zgłasza kolejne

Utwór ten porusza wiele, bardzo ważnych problemów współczesnego świata. To powoduje, że sztuka nie jest łatwa w odbiorze. Są to m.in. problemy ekologii, dominacji konsumpcjonizmu, rozkładu materialnego i etycznego.

W lepszym zrozumieniu spektaklu pomaga nam muzyka skomponowana przez Henryka Kuźniaka. Jest stonowana, nie dominuje nad treścią. Dzięki niej jesteśmy bardziej skupieni, a spektakl staje się interesujący.

Bardzo ciekawie została pokazana sceneria. Była ona tłem, a jednocześnie pomocą w zrozumieniu dzieła. Można z niej wynieść także inny, istotny problem – problem za-



żądania np. przyniesienie herbaty, dosypanie "cukru" itp. Żądania i dialogi są często absurdalne. Przykładem tego może być rozmowa na temat rozmazania i chęci posiadania dzieci przez tytułową, siedemdziesięcioletnią bohaterkę.

Pojawiają się nowe postacie np. mecenas, baron (Jan Frycz), niewidomy (Jarosław Gajewski) oraz syn kobiety. W trakcie ich ukazywania, stopniowo wokół kawiarenki zaczyna przybywać śmieci. Nadchodzi druga część spektaklu, podczas której akcja dzieje się na wysypisku śmieci.¹⁶

śmiecania Ziemi.

Godna pochwały jest gra aktorska. Tytułowa bohaterka została ukazana jako kobieta pełna zdrowia i wigoru. Czasem była trochę irytująca, ale myślę, że to był zabieg celowy. Kelner nie był zainteresowany zdaniem kobiety. Odnosił się do niej z wyższością. Inni bohaterowie dobrze zagrali. Przykładem tego może być finałowa scena sztuki. Zachęcam do obejrzenia tego spektaklu, ponieważ porusza wiele i dobrze nam znanych problemów

Przemysław Bogdan 3Ag

Skok w bok

Ne przepadam za komediami, w związku z czym sama zdziwiłam się, że szukając odpowiedniej sztuki teatralnej, wybrałam właśnie ten gatunek. „Trzeba się przelać” uznałam i zakupiłam bilety na wieczorny spektakl „Skok w bok” w warszawskim teatrze Capitol. Ne zawiodłam się, wieczór okazał się być wypełniony śmiechem. Reżyser Andrzej Rozhin podjął się trudu spolszczenia i uwspółcześnienia angielskiej komedii „Fringe benefits” autorstwa Donalda Churchilla i Petera Yeldhama.

Historia opowiada o dwóch zaprzyjaźnionych parach z długoletnim stażem małżeńskim, które wybierają się na kolejne wspólne wakacje do Terramlinos w Hiszpanii, dokąd jeżdżą od siedmiu lat. Prawda jest jednak taka, że żadne z nich się tam nie wybiera... Aby uciec od szarej rzeczywistości panowie – Jim i Colin – decydują się wystać swoje małżonki do Hiszpanii oraz wnówić im, że sami jadą na męski wyjazd, chociaż w rzeczywistości planują zabawić się z koleżankami z pracy. Niestety, na ich niekorzyść kobiety mają podobny plan. Głównym motywem sztuki jest fakt, że żadne z nich nie ma pojęcia o zamiarach drugiej ze stron.

Najwięcej humoru do spektaklu wprowadza postać wspomnianego wcześniej Collina grana przez Sławomira Zapalę. Aktor idealnie sprawdził się w roli nieco ciemnowłosego ale poczciwego męża. Ne mogę również zapomnieć o postaci hydraulika w którą wcielił się Dawid Czupryński. To jego kwestie wywołały najwięcej wybuchów śmiechu wśród publiczności. Główne role kobiece odegrały Joannę Moro oraz Monikę Krzywkowską były równie świetne.

Ale nie tylko aktorzy spisali się na medal. Podczas występu ne mogłam oderwać wzroku od różowo-cukierkowej scenografii wykonanej przez Joannę Pielat-Rusinkiewicz. Pastelowe kolory i ozdoby idealnie oddawały klimat lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Młym aspektem były napisy w języku angielskim wyświetlane na bieżąco podczas spektaklu, dzięki którym stał się on dostępny dla większej widowni. Humor przez większość czasu był naprawdę dobry, nawiązywał do elementów popkultury, polityki, problemu społecznego. Niestety, niektóre momenty budziły we mnie poczucie zażenowania, np. sceny, w których grająca jedną z kochanek mężczyzn Kajra Kajrowicz przesuwając krzesło odstawiała, delikatnie mówiąc, zbyt wiele. Może i za pierwszym razem było to nawet śmieszne, ale gdy robiła to po raz piąty, ne mogłam już patrzeć.

Myszę, że spektakl ten ne jest dla kogoś, kto chce obejrzeć coś wyszukanego i głębokiego. W końcu jest to komedia, której głównym zamierzeniem jest rozbawienie publiczności, co z pewnością udało się reżyserowi oraz aktorom.

Maja Ozimska 3Ag

Pieniądze śmierci

Zapewne nigdy bym nawet ne zastanowiła się nad obejrzeniem koreańskiego serialu „Squid game”, gdyby ne to, że był po prostu wszędzie – niedługo mógłby zacząć wyskakiwać z

lodówki w każdym domu. Przez same pozytywne recenzje, jakie zbierał ten serial, miałam bardzo wysokie oczekiwania wobec niego. Czy je spełnił? I tak i nie.

Seong Gi-Hun jest człowiekiem bez złamanego grosza przy duszy, a co gorsza, uzależnionym od hazardu. Jego życie ne należy do najłatwiejszych, również przez trudną sytuację rodzinną – to człowiek po rozwodzie, który bardzo rzadko widuje się ze swoją córką. Propozycja tajemniczego biznesmena do udziału w grze, której stawką są miliardy wonów, to dla niego nowa szansa na godne życie. Do rywalizacji o nagrodę staje czterystu pięćdziesięciu pięciu innych graczy, szybko okazuje się jednak, że cała sprawa wcale ne jest taka prosta. Owszem, to wszystko wydaje się całkiem naiwne – wszystkie sześć etapów rozgrywki składa się z gier dla dzieci, jednak jeśli przegrasz... umierasz.

„Squid game” to historia najbiedniejszych ludzi w Korei Południowej, w bardzo trudnej sytuacji życiowej. Ukazuje nam realia ich życia, ich skrajną desperację, jeśli chodzi o zdobywanie pieniędzy. Ne zawahają się przed najbrutalniejszymi i najprymitywniejszymi zagrywkami, byle zdobyć swoje upragnione pieniądze. Serial ukazuje również zepsucie wyższych sfer, a także oddanie człowieka członkom rodziny – niektóre z postaci dosłownie przechodzą dla bliskich przez piekło.

Większość odcinków to emocjonalny rollercoaster (a już zwłaszcza szósty). Napięcie ne opuszcza nas nawet na moment. Neraz wylałam łzy nad losami niektórych postaci. Całe rozgrywki to niezwykle groteska, która łączy cierpienie i hektolitry krwi z pastelowym otoczeniem oraz zabawami z dzieciństwa. Gra aktorska zdecydowanie stoi na najwyższym poziomie, podobnie jak soundtrack oraz reżyseria poszczególnych odcinków.

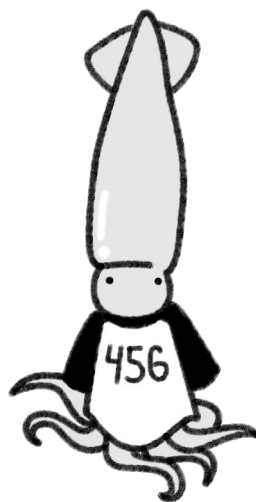
Cała ta historia, według mnie, stanowi doskonałą zamkniętą całość, jednak i twórcy pokusili się o otwarte zakończenie. Drugi sezon już potwierdzony, ale szczerze mówiąc – ne

sądzę, żeby był taki dobry jak pierwszy. Brakować już będzie tego zaskoczenia i niepewności. Być może jestem w tej kwestii zbyt dużą pesymistką, jednak ostatni odcinek naprawdę daje do myślenia – jako zakończenie całości, a ne wstęp do czegoś większego.

„Squid game” to w tym momencie według mnie pozycja obowiązkowa do obejrzenia na Netflixie. Jeśli jesteście spragnieni też, gniewu i obrzydzenia – jest to serial dla was. Tylko

przygotujcie sobie chusteczki.

Basia Frontczak 3Ag



Redefinicja metalowej muzyki

Święto dla fanów współczesnego metalu – tak można określić 17. września 2021 roku, czyli dzień premiery debiutanckiego albumu Spiritbox. Tenże kanadyjski zespół powstał pięć lat temu i w tym czasie usłyszeliśmy ich wiele singli. Wszystkie z nich zostały przyjęte przez fanów oraz krytyków bardzo pozytywnie, zatem oczekiwanie na pełnoprawny album było spore. Prace nad „Eternal Blue”, gdyż taką nazwę Spiritbox nadało swojej pierwszej płycie, zaczęły się już pod koniec 2018 roku. Aż trzyletni okres produkcji absolutnie nie można uznać za zmarnowany czas.

Zdefiniowanie konkretnego rodzaju muzyki, jaką tworzy ten zespół, jest dosyć trudne. Piosenki Spiritbox łączą w sobie elementy takich podgatunków jak metalcore, alt-metal, metal progresywny czy nawet djent. Mimo to najbardziej wyjątkową częścią ich dźwięku jest wokale. To dlatego, że przy mikrofonie występuje kobieta. Metal jest gatunkiem zdominowanym przez mężczyzn, więc osobie bardzo mnie taka odmiana cieszy. Już ten jeden element powoduje, że ich muzyka się wyróżnia i zapada słuchaczowi w pamięć.

Jednak sam fakt, że zamiast wokalisty występuje wokalistka nie czyni automatycznie tej części muzyki genialnym. Courtney LaPlante ma naprawdę wspaniały głos, z którym mało kto może się równać. Potrafi ona zahipnotyzować nas pięknym, delikatnym śpiewem, po czym nagle zszokować chwilowym przejściem w demoniczny, czasem nawet deathmetalowy, krzyk. Tylko niewielkie grono wokalistów ma aż taki zakres głosu. Trudne uwierzyć, że dopiero w wieku 32 lat Courtney osiągnęła popularność.

Inni członkowie zespołu także zachwycają swoim wkładem w „Eternal Blue”. Charakterystyczny ton oraz specyficzne riffy gitarowe Mke’a Stringera powodują, że słuchając jakiegokolwiek piosenki z tego albumu trudno o nudę. Muzykę w szczególności napędza perkusja. Jako, że Zev Rose dołączył do zespołu dopiero w połowie zeszłego roku, część piosenek używa zaprogramowanej perkusji. Jednak niezależnie czy jest ona grana w rzeczywistości

czy przez komputer, to brzmi świetnie i wnosi mnóstwo energii oraz życia do utworów. Nawet coś z reguły tak prostego do przeoczenia jak bas jest grany w miły dla ucha sposób, który pogłębia dźwięk gitary.

Gdy na muzykę składa się tyle fantastycznych elementów, to zwyczajnie nie może ona zawieść. „Eternal Blue” gwarantuje pełny obraz współczesnego metalu zamknięty w dwunastu piosenkach. Od tych melodyjnych, chwytających za serce utworów jak „Constance”, po te brutalne i chaotyczne, czego przykładem są „Hbly Roller” oraz „Silk In The Strings”. Do tego w „Yellowjacket” pojawia się gościnny występ Sama Cartera z zespołu Architects, którego głos świetnie kontrastuje z tym Courtney. Fakt, że Spiritbox udało się zachęcić do współpracy taką osobę jak Carter, pokazuje, na jak wysokim poziomie jest ich muzyka.

„Eternal Blue” to zatem genialny album, który swą kreatywnością oraz perfekcją w każdym aspekcie, redefiniuje współczesny metal. Jeżeli jesteście fanami tego rodzaju muzyki, to Spiritbox jest obowiązkową dla was pozycją. Nawet ci, co nie są zbyt zainteresowani takimi dźwiękami, powinni dać temu albumowi szansę, gdyż przez wpadające w ucho melodie, można łatwo polubić tę muzykę. Z wyjątkiem drobnych momentów, mam problem ze znalezieniem wad tej płyty i mogę powiedzieć, że zaliczam się do osób nazywających „Eternal Blue” albumem roku. Spiritbox nie mogło sobie wymarzyć lepszego debiutu na scenie muzycznej.

Igor Długosz 3Ag



Boję się mojej poezji, naprawdę

chciałabym pisać o morskiej fali
chciałabym za pomocą słowa
opisać wieczór z drugą połówką
w niedrożej restauracji
poranne oczekiwanie na pociąg przy stacji
opowiadać historie, których by się nie bali
zachód słońca i różowe górskie cienie
głębokie oddechy idące w zapomnienie
o winie, które zamiast smaku
radość przynosi
o tych szczerych pocałunkach
kojących umysł zdradliwych trunkach
uczuciach, odczuciach i stanie duszy
pisać o wszystkim co serce me ruszy.

Barbara Garbarska 3Ag

Idę w glanach do kościoła mamó

kiedys gdy stopni było z dwadzieścia dziewięć
a ja czekałam na przystanku spytała mnie
pewna pani choć miła
„a w tych glanach to nie gorąco?”
a ja na to rzekłam
że niekoniecznie
bo wie Pani
jak to jest własne buty ukochać
i chodzić w nich stąpać całe lata
wylewać na nie wódkę gdy zmorzy
stukać, uderzać i trzeszczeć
gdy ulica w nocy straszy
skakać na koncertach
depcząc converseowe palce
ale mówiąc szczerze to nieco gorąco
gdy słońce przygrzewa
nie odbiwszy się od czarnej skóry
lecz nie pisnę ani słówka
gdyż to kompan każdej przygody
wytrwałe idące krok w krok
i choć rany wojenne mają
to nadal przed światem dumnie stają

Barbara Garbarska 3Ag

My kruki z dworca zoo

siedząc pod Żwirki i Wigury
odszukuje miejsca świata mego
zapijam wódką gdy chcę lecieć w chmury
i choć wiem jak wiele w tym złego
lubię gdy warszawskie noce
otulają nieświadomością słodką
sprawiając, że rzeczywistości wtwarz chichocze
a ludzie patrzą mi na ręce jakbym była idiotką
niczym kruk żywiący się zgniłą pajdą
uliczny stwór, ptaszysko miasta
nie martwiąc się czy go psy znajdą
poszukuje w śmieciach kawałka ciasta
a myśląc pozory rzecz trzeba, że inteligentny ów
lecz ja nie mogę złożyć więcej sensownych słów.

Barbara Garbarska 3Ag



Za oknem

A za oknem czeka na mnie

wielka masa wspaniałości.

Ziemniaki, słońca wnuki,

a i nieba trochę sztuki.

Wszystko takie różnorodne,

wszystko tak dopasowane,

jak melodia grana na

szeroką fortepianu skalę

Co nam zagra dziś Vivaldi,

gdy spojrzymy na ten obraz?

Może wiatr, może śpiew ptaków,

może deszczu gamę doznać?

Choć wydaje Ci się pewnie

"znam to okno doskonale",

wiedz, że każdy wzrok tam skierowany

jest ku zdrowej duszy chwale.

Otwórz okno, wystaw głowę,

wsluchaj się w ten szum szeptany,

bo ten obraz, tak spokojny,

nie jest wszystkim ludziom dany.

Ewa Strzeszewska 3Ag

Kwiatki naczycieluf

* *Dzieci jakies nie takie*

* *• Ej! Ocho bądźcie, bo was przez okno wyrzucę, chociaż będzie to dla was dobre, bo pójdziecie do domu*

* *• Ja pindole, Amelka! Nie masz co robić, to "Lalkę" czytaj!*

* *• Za przeproszeniem, gotodupiec*

* *• Przewiercił się drutem patrzy: "O, pięty! Pan Bóg ma sześć palców"*

* *• Znowu herbatę zrobiesz, ja chcę esencję Taką w małym dzbanuszkę, mocną. To taki narkotyk, więźniowie się tak narkotyzują. Ja chcę taki narkotyk!!*

* *• [krzycząc] Czy wy to słyszycie?!*

* *• Normalnie to ja bym huknęła na swoich domowników, a na was nie mogę, jesteście po lockdownie. To ja tupnę nogą [tupie nogą]*

* *• Czy wy złapaliście jakiegos indyka pod tą ławką, że tak tam wesolo?*

* *• Mogę sobie tak pitolić*

* *• Martyrologia Wiktorii Kaliszewskiej z 2A*

* *• Macie młode mózgi, szare komórki wam przybiewają*

* *• To ma być wdrukowane w wasz mózg*

* *• A co to za szmata tam wisi? A to tylko Mikołaj*

* *• Bożenka, ale ty pączuszek jesteś*

* *• Jest województwo małopolskie? Bo ja nawet nie wiem*

* *• Leon, nie czujesz komunistycznego bluesa*

* *• Jeśli nie zbierzecie pieniędzy, będę musiała dać ze swoich. A jak nie wezmę, to nas wywiozą w niewolę*